№ 58. Wtorek, dnia 9 Listopada 1875 roku. Tom I.

OGNISKO DOMOWE Tygodnik

WARSZAWA
d. 28 Października (9 Listopada)
1875 roku.

„OGNISKO DOMOWE" wychodzi w każdy Wtorek.
CENA PRENUMERATY: w Warszawie: rocznie rs. 4 kop. 50; miesięcznie kop. 38.
„ „ na prowincyi i w Cesarstwie: rocznie rs. 6; —
„ „ kwartalnie rs. 1 kop. 50.

REDAKCYA
przy ulicy Mazowieckiej Nr. 1350
(nowy 11).

NAPRÓŻNO.

Zagadko życia, tajemnicza, głucha,
Owiana chmurą przeznaczeń niezdartą,—
Czemu się burzysz w głębi mego ducha,
Czemu, ty księgo z zamazaną kartą,
Gdy już cię chwytam myślą, co się pali,
Szepczesz mi złudna: „ani kroku dalej!"

Stoję więc!.. dłonie opuszczam ku ziemi,
Lecz wnet się zrywam do Syzyfa trudu.
Ukaż się!.. usty zaklinam drżącemi,
Gdy cudu trzeba, o!.. nie skąp ty cudu —
Jasna, czy czarna jako noc wśród burzy, —
Niech się twarz twoja z mgły wieków wy-
[nurzy!

Patrz, jako dłonie krwawią się w rozterce,
O wielki tryumf wiary czy zwątpienia;
Pożogą pragnień bucha ludzkie serce
Do światła, co się w mgłach życia spromie-
[nia,
I ku niebiosom wciąż wyżej ulata
Z po nad przepaści i grobowisk świata.

Ciemno, o ciemno wśród ścieżki żywota,
Choć umysł ludzki rwie się niestrudzony —
Do serca ziemi wali ciosem młota—
Do serca niebios śle zaklęć miliony—
Na wszystko cisza odpowiada głucha—
I ziemia milczy, a niebo—nie słucha!—

Z wysiłku padam. O marneż to siły!
Myśl leci w mgliste krainy—półsenna.
Śnią mi się jakichś olbrzymów mogiły...
Z obłoku nurzy się ludów Gehenna...
Oto blask jakiś ku ziemi się zniża...
Gdzie jestem?.. Boże!.. znowu u stóp krzyża.

St. M. Rzętkowski.

NA MYLNEJ DRODZE,

POWIEŚĆ

W OBRAZKACH Z NASZEGO ŻYCIA

przez

Krystynę Narbuttównę.

(Dalszy ciąg.— Patrz Numer 57).

— A wiesz, mon ange, że to istotnie byłoby przepyszne, gdyby tak jak teraz uwielbiają panią de Stael, panią de Genlis, potem mówiono i pisano powszechnie o pannie Krasnopolskiej. O! przekonana jestem, że gdy zechcesz dokażesz tego łatwo, i uświetnisz nasze nazwisko, tyś taka rozumna! I senatorowa na zadatek przyszłéj sławy, z dumą już patrzyła na Wandę, kochając ją odtąd jeszcze bardziéj, za to światło które kiedyś i na nią w cząstce spaść miało.

— Nieprawdaż stryjeneczko droga, że miło poświęcić pracę i całéj usilności dołożyć ażeby zdobyć sobie taką rozkosz!—mówiła Wanda, a senatorowa uścisnęła ją przejęta uwielbieniem.

— Otóż, ciągnęła dalej Wanda, umyśliłam w miejsce uprojektowanych lekcyj muzyki, uczęszczać na prelekcye znakomitszych profesorów kolegium, otoczyć się literatami, a potem wrócić do Warszawy z gotowemi już materyałami i rozpocząć świetny zawód.

Stało się według woli Wandy, w salonie senatorowej gromadziło się towarzystwo przeważnie literackie, co z resztą przychodziło łatwo, bo w Paryżu w owe czasy właśnie bawiło stale kilku najznakomitszych naszych literatów. Zbierano się więc chętnie i licznie w domu pani Krasnopolskiej, a Wanda pięknością i dowcipem opanowała wszystkich, pociągając ku sobie nawet najpoważniejszych niezaprzeczonemi zdolnościami swemi. Pomiędzy hołdownikami pięknéj i porywającéj dziewicy, nie zbywało też i na takich co u stóp jej składali czulsze sentymenta, a byli to po większéj części tacy, których czarodziejka w czasie podróży napotkawszy na drodze, przykuła do swego rydwanu; w tym orszaku niewolników znajdowali się, jakiś magnat węgierski i o oliwkowej cerze a burzliwem sercu młody grand hiszpański, podszarzały ale milionowej fortuny baron niemiecki i jakiś książe grecki, ale wśród nich najwięcéj jednak zasługiwał na uwagę i pozyskiwał ją niezaprzeczenie pan August Korwin, który jako rodak i człowiek pewnego a dobrze znanego stanowiska, najwięcej miał względów u obu pań. Pan August miał piękną fortunę, 35 lat i prawdziwie pańską powierzchowność; od dwóch lat podróżował po za granicami kraju, częścią dla zdrowia a więcéj dla rozrywki; dostatni, niezależny, dawno już nacieszył się tem co w kraju mieć było można, więc szukał u obcych nowych wrażeń i nowych przyjemności. W charakterze miał pewną cechę rycerskości, bo był odważny i prawy, ale leniwy, nie miał wytrwałości i samoistności żadnéj, wzrósł w sferze wielkiego świata, gdzie życie traktowanem bywa powierzchownie i przywykł do poszanowania formy, która mu była prawem. Bawił czas jakiś w Anglii i przejął się znacznie charakterem szlachty tamecznej, uważając ich sposób bycia za szczyt dobrego smaku.

Wanda od razu zwróciła jego uwagę i po dobała mu się od pierwszego spotkania. A poznanie tych dwojga ludzi nie nastąpiło wcale pod romantycznemi prognostykami, bo ani w czasie czarującej przejażdżki po kanałach w Wenecyi, nie pod portykami odwiecznego Kolozeum, ani też na szczycie żarem kipiącéj wewnątrz Etny, ale najprozaiczniej w świecie przy table d'hôtes jednego z wytwornych hotelów w Genewie.

Wanda, jak piszemy, żywo zajęła pana Augusta, ale pomimo wrażenia jakie na nim zrobiła, zachowywał się względem niéj zawsze z poważnym kontenansem, jak przystało na człowieka co wiele studyował synów Albionu, zawsze i wszędzie szedł stale za rydwanem pięknéj divy, któréj towarzyszył bez natręctwa i dumy, trzymając się nieustannie w przyzwoitem oddaleniu, grzecznie uważny na jej skinienie Takie postępowanie pana Augusta podobało się bardzo Wandzie, i rada była z jego asystencyi, a nawet pewną chlubę czuła że pomiędzy wszystkiemi otaczającymi i asystującymi

jej mężczyznami cudzoziemskiemi, on rodak przedstawiał się najlepiej jako człowiek pełen taktu i niezmiernie dystyngowany; ta godziwa chluba jakiej doznawała Wanda była jeszcze wynikiem wpływów rodziny Gasztołdów. Kiedy senatorowa z powabną swą synowicą przyjechały do Paryża i ulokowały się tam ostatecznie, po jednemu zjawiać się też zaczęli w salonie senatorowéj i wielbiciele Wandy, pan August nie był ani pierwszym ani ostatnim pomiędzy przybywającemi. Nie rozminąwszy się ani na chwilę z przyjętym systemem umiarkowania, jednakże coraz wyraźniej dawał poznać że staje w roli oficyalnego konkurenta. Jest u nas bardzo wielu mężczyzn, którym przedewszystkiem chodzi o to, ażeby mieli żony od święta, to jest takie któremiby się mogli w obec ludzi pochwalić. Tak jak lubią mieć piękny ekwipaż, konia wierzchowego, piękne meble i t. d., na to ażeby je ludzie admirowali a może i zazdrościli ich, tak też pragną mieć żony piękne i świetnie prezentujące się w świecie po to, ażeby je admirowano, uwielbiano do pewnego stopnia i zazdroszczono mężowi. Takiemu nie chodzi wcale o to, jakich jest usposobień i charakteru towarzyszka jego życia, on jej wiele niedostatków wybaczy, byle tylko zajaśniała na pokaz w dnie uroczyste kiedy mu potrzebna dla parady; ona jest tylko przedmiotem dla jego próżności potrzebnym. Uczucie jakie taki mężczyzna uczuwa dla téj którą wybrał, nie godne jest miana miłości, szczyt to uzmysłowionego egoizmu.

Niedobra to cecha męzkiego charakteru, a niestety wyznać potrzeba że w dość częstych przykładach u nas się objawia. Pan August był jednym z takich. Wanda podobała mu się i powziął myśl ożenienia się z nią, lecz dla tego przedewszystkiem, że Wanda miała wszystkie warunki po temu, ażeby być tą odświętną żoną, jaśniejącą bardzo wybitnie na tle choćby jak licznego tłumu. Widział ją niejednokrotnie w towarzystwach, zbadał że posiada wielostronne materyały do tego by była jedną z tych żon zazdroszczonych, od parady, więc powiedział sobie: „o ta jest właśnie taką jakiej mi potrzeba“ i już ani w jej uczucia ani w jej charakter i cały ustrój wewnętrzny nie wglądał wcale. P. August nie był chciwym ale i ze względów finansowych związek ten nie ukazał mu się z ujemnej strony; posag Wandy zapewniał półtorakroć gotówki do podniesienia w każdej chwili, co na owe czasy o wiele więcej znaczyło aniżeli dziśby znaczyć mogło, na spadek zaś po bezdzietnej senatorowej także coś rachować można było. Słowem, Wanda miała w przekonaniu p. Augusta wszystkie warunki dobrej partyi, a pewnego poobiedzia, paląc dwuzłotowe hawańskie cygaro, rozważył bardzo ściśle to wszystko, i zrobił postanowienie starania się o jej rękę, wszakżeż z godnością i ostrożnie, ażeby nie skompromitować własnej powagi.

Jeżeli p. August tak ściśle nad tem rozmyślał, nie mniej rozważnie rozbierała Wanda wszystkie za i przeciw tej konkurencyi, i tu zeszły się obliczenia obojga. Pan August zajmował w kraju dosyć wybitne stanowisko, i Wanda mogła być pewną, że zostawszy jego żoną stanie na widowni wielkiego świata i będzie mogła w nim zająć stanowisko jakie sama mieć zechce; było to właśnie czego w przyszłem zamężciu najgoręcej pragnęła; a że p. August w dodatku bardzo efektownie prezentował się wszędzie gdzie się prezentować należy, że miał w całej swej powierzchowności i obejściu się ten ton dobrego smaku, który go uwydatniał w każdem liczniejszem zebraniu, że umiał tak się postawić, że czy to w męzkiem towarzystwie czy też w stosunkach salonowych traktowano go z pewnem poszanowaniem, słowem że posiadał w pewnem stopniu doskonałości tę naukę, którą Francuzi nazywają *savoir vivre et savoir être*, Wanda uznała go najzupełniej odpowiadającym swoim widokom i za pierwszym wyraźniejszym jego krokiem na drodze konkurencyi ośmieliła go zręcznie, i wkrótce słowo ostatetecznego porozumienia wyrzeczonem zostało.

Dotąd p. August względem swych współzawodników zachowywał się z rycerską galanteryą, ale jak tylko otrzymał słowo pięknej dziewicy, zręcznie usunął orszak aspirantów. Z Węgrem wszczął spór o konie, i wtedy kiedy Madziar unosił się nad dzielnością rasy wschodniej, p. August z błotem ją zmięszał dowodząc, że prawdziwy szlachcic, człowiek co się ceni, bez uchybienia dobremu smakowi dosiąść wschodniej rasy konia nie może i że tylko angielska przez ludzi co się znają na tem za rasę szlachetną uważana być może. Węgier się zapalił, sprzeczka szła coraz żywiej i doszło do tego, że p. August glansowaną rękawiczkę, którą w czasie dysputy miał od niechcenia w ręku, rzucił Madziarowi w oczy; w skutek czego tego samego dnia nastąpiło wyzwanie, a p. August, który na dwadzieścia asów o zakład ośmnaście zwykł był wystrzeliwać, knął wytrącił pistolet Madziarowi z ręki, raniąc go przytem lekko w prawe ramię; a Madziar jeszcze obandażowany wyjechał do Anglii, ażeby się przekonać na miejscu o ile p. August miał słuszność.

(D. n.)

ZDOBYCIE GRENADY.

Opowiadanie historyczne.

(Ciąg dalszy.)

VIII.

Głos kobiety wzywającej obrony lub zemsty, nie mógł w owe czasy pozostać nie wysłuchanym. Don Juan nie namyślał się ani chwili, lecz zawezwawszy swych nieodstępnych przyjaciół i towarzyszów broni, Alonza d'Aguilar i Rodriga Ponce di Léon, przedstawił żądanie małżonki emira, zapytując czy ich nie wstrzyma wzgląd na to, że żądająca ich pomocy niewiasta jest muzułmanką, i że dostanie się do miasta oblężonego w dzień oznaczony, przedstawia wielkie trudności i niebezpieczeństwa?...

— Żaden wzgląd, nic nas nie wstrzyma!... zawołał z zapałem don Alonzo. Byłaby to wieczna hańba dla całego rycerstwa, gdyby kobietá niewinna, piękna i nieszczęśliwa, padła ofiarą nędznej potwarzy, nie znalazłszy dla siebie obrońcy na ziemi hiszpańskiej. Żadne przeszkody nie będą dość silne, byśmy ich zwalczyć nie mogli, gdy chodzi o tak piękną, tak szlachetną sprawę.

U OGNISKA.

VI.

Samotne, zimne, mroźne, wietrzne dnie, rozpoczęły zimę w całem tego słowa znaczeniu. Bo chociaż na niebie astronomiczna jesień panuje, na ziemi zima objęła swe panowanie. Drzewa Saskiego ogrodu utraciły resztę swoich liści, a podmuch *akwilonu* miecie niemi szeleszcząc ponuro. Zżółkłe, uschnięte leżą na trawnikach i steczkach podobne „do dni młodości marnie straconych“, do jakich porównał je poeta. Tylko że liście wypłacą się materyalnemu światu setnym procentem urodzajności wzbogacając ziemię, a zmarnowana młodość całych pokoleń w moralnym świecie pozostawia po sobie pustynię, po której tylko przeciągają powolnie wlekące się widma apatyi, zdenerwowania, senności i zawodów. Na wyrwanie się z tego zaczarowanego koła dusznéj atmosfery, napełnionéj marami i zwątpieniem, potrzeba farysowego serca i odwagi, potrzeba rączego rumaka zapału, coby zdołał wynieść społeczeństwo z piasków, pod ożywczy chłód zielonéj palmy, nad brzeg szemrzącego strumienia, na szmaragdowe trawy oazy.

Pędź latawcze białonogi,
Mary z drogi, widma z drogi!

Ale takich koni o jutrzence błyszczącéj na czole, co „nóg białych polotem“ ciskają „błyskawice“, nie ujeździ pierwszy lepszy dobréj woli człowiek, ba! nie znajdzie go nawet, nie wyszuka w pustyni, może dosiąść nie potrafi. Skręcić z niego kark tak łatwo,—a każdemu kark miły. Zamiast więc ognistego pegaza pętać i z wędzidłem obnażać, dobrzy i rozsądni ludziska sadowią się na obszernéj skorupie olbrzymiego żółwia, i powolnym ale pewnym krokiem zmierzają do celu. Niech im będzie na zdrowie, aby tylko wyszli na swojem, nie zbaczając z ubitego gościńca postępu. Że tymczasem ulezie to jakoś, dosyć rozejrzeć się na około, byle z góry spoglądając. Dążenia wiele, aby tylko nie ustało, aby siły i wytrwałość dopisała.

Felietonista z natury rzeczy jest obserwatorem,—a w spoczynku nawet jego krzesełko toczy się na kółkach jak welocyped popychany mocą muskułów własnych;—fotel ten *à la Voltaire* chociaż *nie wolteriański* wcale, przybija do każdego przedmiotu, jak łódź opływająca brzegi stałego lądu.... gotowa zatrzymać się raz w zatoce roszącéj swemi falami zieloną łąkę, albo zawinąć w skalistym porcie wyniosłego kamienistego nadbrzeża.

— Tak jest, dodał don Rodrigo — żaden z nas wahać się nie może. Chodzi tylko o sposoby dostania się do grodu niewiernych na dzień oznaczony, a to ja już biorę na siebie.

Jakoż następnej już nocy, trzej jeźdzcy przemykali się przez czaty chrześciańskiego obozu, a dostawszy się do poblizkiego lasu, zarzucili na swe zbroje arabskie burnusy i czwałem się w góry puścili, aby okrążywszy miasto, dla nieposzlaki i niepoznania, wejść mogli do niego bramą leżącą w przeciwnej stronie obozu. W dzień przeznaczony na sąd i wyrok w sprawie Alfaimy, wielkie wzburzenie panowało w Grenadzie. Księżniczka, z dawnego rodu władzców Korduby pochodząca, miała wielu stronników, a sława jej piękności i cnót szeroko się rozchodząca, liczbę ich jeszcze podwajała. Nikt jednak dotąd nie odważył się zapisać w szranki jako jej obrońca, przeciw straszliwemu Mohamedowi, chociaż opowiadano sobie, że całe pokolenie górskie Gomerów powstało i na odsiecz swej dawnej pani idzie. Tymczasem na placu Bivarambla wznosił się już stos, kaci z zapalonemi pochodniami czekali na swą ofiarę, pla · cały otoczony był potrójnym rzędem zbrojnych łuczników, którzy cisnące się tłumy wstrzymywali. Wszystkie balkony i tarassy okryte były widzami, którzy z gorączkową niespokojnością oczekiwali rozwiązania tego krwawego dramatu.

Nareszcie ukazała się Alfaima, cała czarno ubrana, prowadzona przez straż emira, która ją umieściła na podwyższeniu także czarno okrytem, a ustawionem u stóp czekającego na nią stosu... Weszła nań smutna i spojrzała łzawo na otaczające ją tłumy. Pomiędzy widzami głuche jęki i głośne szemrania słyszeć się dały. Kobiety płakać i narzekać na srogość emira zaczęły, mężczyzni uwielbiać piękność i żałować losu nieszczęśliwej, a wszyscy oglądali się na bramy, czy się nie ukaże jaki obrońca, lecz daremnie! Mohamed tylko zbrojny i dumny wjechał z dwoma towarzyszami w szranki, i przy odgłosie trąb i kotłów, objechał je trzykrotnie, wedle zwyczaju; potem stanął naprzeciw swej ofiary, u stóp trybuny sędziów.

Heroldowie ogłosili że otwarte są szranki, i że Mohamed oskarżywszy Alfaimę o złamanie wiary małżeńskiej, kopią i mieczem, przeciw każdemu któryby jego słowom przeczył, prawdy ich dowodzić będzie.

Cztery godziny przeznaczono jako termin przybycia niespodziewanego obrońcy. Głuche milczenie cały plac zaległo, przerywane tylko rżeniem niecierpliwych rumaków lub odgłosem trąb heroldów, którzy niemi co godzina znać dawali, że czas mija a oskarżyciel czeka... Tak już po raz trzeci trąby się odezwały, a nikt nie przybywał; dreszcz zgrozy przebiegał wśród widzów; Alfaima coraz niżej głowę schylała, a przez zasłonę nawet, dojrzeć można było bladość jej twarzy — gdy wtem, zdala, przytłumiony odgłos rogu dał się słyszeć. Okrzyk radości wyrwał się z tysiąca piersi, Alfaima jak ogniem tknięta porwała się z miejsca, wszystkich oczy zwróciły się w stronę, zkąd już dochodził przyśpieszony tentent kopyt końskich. Za chwilę, w pełnym biegu pięknych rumaków, wjechało w szranki trzech rycerzy, i podbiegnąwszy do rusztowania na którem Alfaima siedziała, oddali jej głęboki ukłon, miecze swe ku jej stopom schylając; następnie podjechawszy pod trybunę sędziów, zwykłą w takich razach wykonali przysięgę, i przez heroldów na oznaczone miejsce odprowadzeni zostali, nie podniósłszy jednak przyłbic, któremi oblicza ich zakryte były pod białym burnusa kapturem. Widocznie, obrońcy Alfaimy korzystając z prawa statutów rycerskich, zawsze w takich razach szanowanych, pragnęli pozostać nieznajomymi.

Wkrótce, za danem trąbami hasłem, w pełnym biegu koni, runęli na siebie przeciwnicy; zwarły się z trzaskiem zbroje, i w jednej chwili kopjami nieznajomych rycerzy z kulbak wyrzuceni, dwaj towarzysze Mohameda leżeli na ziemi—jeden z nich śmiertelnie ranny.

Skruszone kopie Mohameda i jego przeciwnika, świadczyły tylko o gwałtownem ich na siebie natarciu, lecz obadwaj pozostali niewzruszeni i nietknięci na swych kulbakach. Podano im świeże kopie; po raz drugi zwarli się z sobą; tą razą nieznajomy rycerz silnem pchnięciem kopii Mohameda w same piersi ugodzony, spadł z konia, lecz porwawszy się natychmiast na nogi, wyjął miecz krótki i stanął gotowy do boju. To samo uczynił Mohamed, zsiadłszy ze swego wierzchowca, i teraz poszło na ostre. Chwil kilka trwały ogniste cięcia, dwaj szermierze godni byli siebie, słychać tylko było szczęk oręży — a od gwałtownych razów iskry sypały się ze zbroi; lecz widać że sam Bóg losem bitwy kierował. Muzułmanin pośliznął się, a w tej samej chwili ostrze miecza przeciwnika przeszyło mu gardło. Padł, śmiertelnym ciosem ugodzony, a konającym już głosem zawezwawszy sędziów, wyznał im, że tylko nienawiścią przeciw Abenserragom wiedziony, potwarz na Alfaimę rzucił.

(D. c. n.)

Piętnaście dni na wybrzeżach Gangesu.

(Wyjątki z dziennika podróży A. M.)

(Ciąg dalszy.)

— Uczynimy wszystko czego żądasz, lecz mamy nadzieję że wyjdziesz szczęśliwie z tej walki, i że świadczyć będziemy jedynie przed majorem o twej zręczności i odwadze.

— Sawrana zabije nosorożca, jeżeli tylko bogowie nie zapisali inaczej w księdze przeznaczenia; lecz bywajcie zdrowi, bo słońce wschodzi.

Wymówiwszy te słowa Moniram dał znak słoniowi aby postąpił dalej i posunął się w stronę bagien.

Równo ze wschodem słońca ocknęło się mnóstwo ptaków. Wielkie białe papugi (ara) z pąsowemi czubami, mniejsze w różnych kolorach, bengaliny kropkowane, pu-

---

„Spółka Połączonej Pracy kobiet" pragnąc rozszerzyć zakres swojej działalności, otworzyła w zeszłą sobotę, d. 30 Października, przy ulicy Marszałkowskiej *Bazar*, oraz przeniosła tamże swoje pracownie, kantor — (bo gdzież dziś niema kantoru?) oraz cały zakład. Przenosiny te odbyły się uroczyście przez tradycyonalne poświęcenie, w obecności zgromadzonych gości i reprezentantów prassy. Jedna ze wspólniczek firmowych, temi wyrazami przemówiła do zebranych:

„Uważam za stosowne przed rozpoczęciem aktu poświęcenia naszego zakładu, objaśnić szanownych gości, a przedewszystkiem przedstawicieli prassy, z naszą instytucyą. Oto już czwarty rok rozpoczął się od czasu, kiedy przy współudziale p. Piechowskiego, męża mego, pań: Sieroszewskiej, Suchowieckiej, Szczypiórskiej, panów Wiślickich, i kilku innych osób, potrafiłam wprowadzić w czyn dawne moje marzenia, przez założenie Spółki Połączonej Pracy Kobiet. Stowarzyszenie to na samym wstępie spotkało wiele trudności; brak dostatecznego udziału w niem bogatych rodaczek, a ztąd szczupłość kapitału, nie pozwalała nam się rozwinąć dostatecznie. Peryodyczna prassa, nieobznajmiona z duchem naszej ustawy, bośmy przez niedoświadczenie takowej drukiem nie ogłosiły, wymagała od nas działań czysto filantropijnych, na które ani nasze środki, ani natura instytucyi nie pozwalały, a za niewykonywanie których niezbyt pochlebnie nas czczono. Ztąd kilka pierwotnych założycielek, zrażone tem, wystąpiły ze spółki, a nawet ja sama, ażeby odwrócić rzucone nam podejrzenie, jakoby interes głównie przewodniczył myśli założenia spółki, nie cofając wprawdzie mego materyalnego wkładu, urzędownie wystąpiłam z niej, i dziś moralny tylko biorę w niej udział. Nie zważając jednak na te wszystkie trudności, na małe nawet zainteresowanie się nią kilku wspólniczek „Spółka połączonej pracy kobiet", o własnych siłach i przy protekcyi pani baronowej Meller-Zakomelskiej, która jedna tylko z dam zaproszonych przyjęła protektorat przez ustawę zastrzeżony, nie upadła, ale rozwijała się i rozwija ciągle; nie dała wprawdzie świetnych rezultatów finansowych, narażiła nawet z początku wspólniczki na straty, ale osiągnęła cel swego założenia, nie tylko że wprowadziła kobiety na pole samodzielnej działalności, że rozszerzyła zakres pracy kobiecéj, ale nadto starała się uczynić tę pracę podwójnie doniosłą, dając bowiem natychmiastowy zarobek, usiłowała nakłonić pracujące do składania z niego małej oszczędności dla siebie, a to dla utworzenia w ciągu lat kilku, mianowicie lat pięciu, warunkowo dość znacznego funduszu, gdyż oszczędności te włożone w obrót handlowy, powiększają się otrzymywanemi na nie zyskami. Rozsą-

szyste bulbule, kolibry błyszczące jak szafiry, rubiny lub topazy; wszystko to fruwało z gałęzi na gałęź i świergotało wesoło. Olśniony tem życiem, tym blaskiem i świetnością, upojony czarowną wonią kwiatów, które otwierały swe kielichy, zachwycony ich barwami i kształtem, zapomniałem prawie na chwilę o nosorożcu, gdy rozległo się zdala głuche warczenie...

— Zwierze się zbliża, rzekł Moniram i pochylając się na szyi słonia, mówił półgłosem następującą modlitwę:

— O! Visznu! Ty który oswobodziłeś ziemię z trapiących ją potworów! Ty który zgniotłeś węża Caly, i zabiłeś olbrzyma Kayamangasaura, wspomóż mię w téj przygodzie!

Ryk nosorożca był coraz wyraźniejszym, nareszcie straszliwe zwierze wysunęło się z zarośli.

Sawrana stulił uszy, co było u niego oznaką gniewu, lecz udawał że nie widzi nieprzyjaciela, i trąbą swą obrywał niedbale liście poblizkich krzewów.

Nosorożec był ogromny, a lubo niedorównywał wzrostem słoniowi, strasznym rogiem swoim mógł go wskróś przebić. Spostrzegłszy przeciwnika, przystanął na chwilę zdziwiony, potem wszakże z wielkim pędem rzucił się naprzeciw niego. Sawrana nie drgnął nawet, i dopiero gdy nosorożec był już tuż przy nim, podskoczywszy w górę z dziwną jak na tak olbrzymie zwierze zręcznością, uderzył nieprzyjaciela wszystkiemi czterema kopytami, tak mocno, że ten aż przypadł do ziemi. Powstał jednak szybko i zaczął znów próbować dostać się pod słonia, aby go przebić rogiem; Sawrana wszakże zawsze pozbywał go się w tenże sam sposób. Gniewne ryki obu przeciwników rozlegały się głucho dokoła, a razy jakie sobie zadawali, następowały coraz szybciej. Tłumiliśmy oddech mimowolnie przerażeni tym widokiem. Nosorożec trzymał się dobrze, i gdyby mu tylko dostać się udało pod brzuch słonia, jak to uczynić zamierzał, Sawrana byłby zgubiony. Ale i Moniram kierując swym towarzyszem starał się niedopuścić tego. Trudno było przewidzieć koniec walki, gdy nagle udało się słoniowi pochwycić trąbą róg nosorożca. Chciał go obalić i zdeptać nogami. Nosorożec stanął murem z początku, zwolna wszakże siły jego wyczerpywać się poczęły i pochylił się na bok, a następnie upadł na ziemię. Moniram uczepiwszy się na szyi Sawrany, wydał wtedy okrzyk zachęcający go do zwycięztwa, i nosorożec przebity kłami słonia, nie powstał już więcej. Uderzenia trąbą i deptanie nogami zamieniły go wkrótce w jedną niekształtną massę. Panie Stewens i Jacolliot nie widziały tego zakończenia, bo już przy upadku nosorożca przewidując je, wzrok zakryły.

Moniram zabrał dla swego pana róg i kopyta nosorożca, kucharz zaś p. Stewens najdelikatniejsze części jego mięsa, bardzo smakiem przypominającego wołowinę, poczem pospieszyliśmy na statek, aby spocząć po wrażeniach tego poranku.

Inteligentne postępowanie Sawrany było następnie przedmiotem naszéj rozmowy. Dziwnem i w ogóle trudnem do zbadania jest usposobienie tych olbrzymich zwierząt, które przeszedłszy nagle z życia swobodnego w puszczy, pod władzę człowieka, oswajają się w przeciągu dni kilkunastu, i nie mają bynajmniej ochoty powracać do dawnéj swobody.

Indyanie w swéj wierze w przechodzenie dusz w istoty coraz doskonalsze, utrzymują że słoń jest ostatniem przeobrażeniem duszy wstępującéj w człowieka.

Po śniadaniu złożonem z ogromnego ryżowego ciasta, które Moniram podzielił z Sawraną, pożegnaliśmy ich obu i popłynęliśmy daléj. Nazajutrz rano wylądowaliśmy w Vellypoor. Major Daly wraz z żoną uprzedzony o naszem przybyciu, czekał nas na wybrzeżu.

Major Daly należał do wyjątkowych mirasdarów; pełen współczucia dla otaczającej go nędzy, w kilka lat po objęciu swych posiadłości zmienił do niepoznania los ich mieszkańców. Zniżył o ile możności opłatę pobieraną od rajotów, a mając i tak stosunkowo znaczne dochody ze swej ziemi, część ich obrócił na polepszenie smutnéj doli coolisów. Opłacał im uczty weselne i pogrzebowe stosy, budował chaty w których zamieszkiwali wraz z rodziną, chcąc zaś żeby kobiety i dzieci miały zarobek chroniący ich od szukania szkodliwego zdrowiu pożywienia po lasach i bagnach, założył dla nich fabrykę mat trzcinowych, których sprzedażą sam się zajmował. Serce się radowało słuchając opowiadania o tem wszystkiem, nigdzie bowiem zacne postępowanie uczciwego człowieka nie czyni milszego wrażenia, jak tam, gdzie zdobywcy europejscy, podobnie jak w Indyach, odznaczają się bezmierną chciwością i mnóstwem innych występków. Pani Daly, kobieta miła i wykształcona, dopomagała dzielnie mężowi w czynach miłosierdzia, oboje też uwielbiani byli przez swych podwładnych. Posiadłość w któréj zamieszkiwali odznaczała się wewnętrznym przepychem w urządzeniu, i zewnętrzną wspaniałością. Z okien pięknego pałacu zbudowanego we wschodnim stylu, rozciągał się z jednéj strony widok na Ganges, szerokiem w pobliżu płynący korytem, z drugiej zaś na olbrzymie lasy, których drzewa pokrywała sieć wijących się roślin, o różnobarwnych liściach i kwiatach. Na przeciwnym brzegu rzeki, niby ocean zieloności, ciągnęły się zarośla i bagna, pokryte wysoką trzciną, tajemnicze siedlisko najstraszliwszych zwierząt fauny indyjskiej. Patrzałem w niemem podziwieniu na cudny ten krajobraz, i bardzo niechętnie udałem się w głąb pałacu, gdzie zastaliśmy gości i przygotowaną dla nas ucztę. Kobiety i mężczyźni obyczajem przyjętym w Anglii zasiedli do niej w wykwintnych wieczorowych ubiorach. Stół uginał się pod ciężarem sreber, kryształów, porcelany japońskiej i chińskiej, oraz bukietów, kwiatów i piramid ciast, pomiędzy któremi stały kompóty z goyawów i ananasów, konserwy z imbieru, pikle i konfitury rozmaite. Stół był tak szeroki, że prócz tego mieściły

---

dniejsze z pracujących, zrozumiawszy cel tego, potrafiły już sobie po kilkadziesiąt rubli uzbierać. Spółka w przeciągu trzech lat, oprócz stałych zajęć przy administracyi dała u siebie pracę około trzystu osobom, nastręczyła chwilowe lub stałe zajęcia, za pośrednictwem swego kantoru, około dwu stu kobietom; — wykładano tu naukę rzemiosł i buchalteryi do dnia dzisiejszego czterystu pięćdziesięciu dwom osobom. Z tegowięc jest widocznem, że spółka połączonéj pracy kobiet zgodnie ze swoją dewizą: „połączenie sił słabych wytwarza potęgę" pomału zbierała się na siłach, i dziś licząc kilkadziesiąt w niej uczestniczących osób, wstępuje w nową fazę obszerniejszej działalności, którą stosunkowo do początkowéj można już nazywać pewnym rodzajem potęgi. Czy się powiedzie w tem nowem jej życiu, czy w obec niesprzyjających okoliczności, braku poparcia u ogółu, owa potęga nie runie, za to ręczyć nie można; mam wszakże nadzieję, iż rozpoczynając w imie Boże i z Jego błogosławieństwem, które nam szanowny kapłan udzielić raczy przy poświęcaniu tego zakładu, społeczny cel naszych dążeń szczęśliwie osiągniemy".

Po téj cytacie, chcąc być objektywnemi w najdrobniejszych szczegółach i niepomínąć milczeniem instytucyi, oraz jej nowych objawów życia, drobiazgowo tu podamy to wszystko, czem zamierza trudnić się świeżo otworzony „bazar" Spółki połączonéj pracy kobiet, oraz czem sama Spółka zajmować się przyrzekła.

Kantor spółki przyjmuje wszelkie zamówienia i obstalunki w zakres damskiej toalety wchodzące, nie wyłączając z takowej wszelkiego rodzaju bielizny. Podejmuje się wykonywać takowe w pracowniach swoich najakuratniej i podług najświeższej mody, przyjmując nawet na siebie obowiązek uszycia całéj wyprawy dla panien wychodzących za mąż, a to od ceny 450 do 3000 rubli. Zapisuje adresa kobiet zajmujących się pracą i rekomenduje takowe potrzebującym, stałe zaś swoje pracownice poleca bez pobierania jakiegokolwiek bądź wynagrodzenia, tak ze strony przyjmujących do obowiązku, jak i ze strony podejmujących się takowego. *Stałą pracownicą* nazywa się każda osoba płci żeńskiej, pracująca tak ręcznie jak i umysłowo, która poddała się pewnym formalnościom, przez zakład na nią nałożonym, i złożyła tytułem bezprocentowej kaucyi rubli pięć. Nadto kantor Spółki podejmuje się przyjmować obstalunki i zamówienia na rzecz warsztatów i interesów obcych, byleby przez kobiety prowadzonych, za opłatą niewielkiego komissowego. Ponieważ Spółka połączonéj pracy kobiet, nie jest jakąś pojedynczą własnością, lecz położyła sobie za zadanie być zbiorem samodzielnycb przedsiębierstw, pod jedną tylko wspólną firmą i ogólną, wspólną administracyą prowadzonych, to

się na nim wszystkie półmiski z potrawami jakie miały być podane, z wyjątkiem pieczystego. Każden półmisek stał na srebrnéj podstawie, pełnéj gorącéj wody, w któréj ciepło utrzymywały ukryte spirytusowe fajerki. Wspaniałą tę zastawę oświecały pachnące różnokolorowe świece w kryształowych i srebrnych pająkach. W pośrodku sufitu zawieszony był olbrzymi wachlarz, który poruszany nieustannie odświeżał powietrze. Za każdym z gości stało dwóch ludzi, jeden z nich odmieniał talerze, a drugi nakładał wskazane sobie potrawy. Obiad bowiem tutejszy tem się różni od naszego, że każden je co mu się spodoba, nie zachowując w tem żadnego porządku. Skutkiem tutejszego klimatu, żołądek potrzebuje częstych odmian kuchni; podają więc znaczną ilość potraw, aby każdy mógł wybrać to co mu się spodoba. Skoro już pokosztowano wszystkiego, zaczyna się prawdziwa uczta indyjska. Zbierają wszystkie potrawy, i wnoszą ulubiony przysmak krajowców, zwany: *carry*, który wszyscy mieszkańcy Indyj, nawet europejskiego pochodzenia, jedzą z równem upodobaniem. Jest to ryż gotowany na sypko, do którego podają osobno sos bardzo ostry. W tym palącym podniebienie sosie pływają jarzyny, drób, lub zwierzyna; stosownie do tego potrawa przybiera nazwisko *carra z jarzyn*, *ze zwierzyny*, *z ryb*, i t. p. Europejczycy zamieszkali w Indyach czują z początku wstręt do tej potrawy, muszą wszakże do niej nawyknąć, jeżeli chcą zachować zdrowie i życie, gdyż ostre przyprawy powstrzymują rozwój rozmaitych chorób nieodłącznych od tamecznego klimatu. Co do mnie nie mając zamiaru zamieszkiwać w Indyach, po skosztowaniu carry, położyłem łyżkę i czemprędzéj wypiłem szklankę wody, co dało powód do ogólnego śmiechu. Zdaje się że posiada własność rozweselania humoru, bo gdy ją podano, wszyscy stali się rozmowniejsi.

(*D. c. n.*)

O KAMEACH I GEMMACH.

(Dokończenie.)

Podczas gdy gemmy znajdowane w grobach staro-etruskich noszą na sobie wcale proste i nie artystyczne rysunki, republikański Rzym posiadał już znaczną liczbę rytowników na kamieniu, pochodzenia greckiego, którzy późno dopiero rzymskich uczniów sobie wykształcili. Wielu zaiste mogło znaleźć chleb w tem zajęciu, gdyż noszenie sygnetów z pieczątkami bardzo było upowszechnione nawet między temi, co pisać nie umieli. Utrzymują niektórzy że się nawet niewolnicy w nie stroili; chociaż ci zadawalniali się zapewne po największej części taniemi ze szkła naśladowaniami. Bogaci patrycyusze przystrajali sobie palce rozmaitemi, w pierścienie oprawnemi gemmami. Wiadomo że po bitwie, która w 62 r. przed nar. Chr. w wąwozach Apenińskich, pod Pistoją, położyła koniec sprzysiężeniu Katyliny, i w której on sam zginął, wraz ze znaczną częścią swego wojska, wśród którego padła prawie wszystka „złota młodzież“ rzymska, a wszyscy co do jednego z ranami od przodu zadanemi, korcami zbierano pierścienie z pobojowiska.

Rozmaitość rysunków na gemmach była nieograniczona. Napotykamy na nich, wszystko począwszy od najstarszych bóstw mitologicznych, aż do najprostszych sprzętów domowych i rolniczych. Pojedyncze przedmioty są pospolitsze, w gruppach trafiają się rzadko, co naturalnie wpływa wielce na archeologiczną wartość kamienia.

Niezmiernie interesującą byłoby dla nas rzeczą, wiedzieć jakich emblematów używali na pieczątkach tacy ludzie, jak Perykles, Scypio, Kato, Cycero, Juliusz Cezar, Brutus, August, Tytus i wielu innych. Szerokie pole otwiera się tutaj dla naszej fantazyi, ale pewniejszych danych mamy bardzo mało, a jednak wiadomość podobna byłaby nie mniej ważną w ocenieniu tych ludzi, jak np. legenda, jaką dzisiaj nowo uszlachcony herb swój otacza, albo którą popularny jakiś członek parlamentu pod swoim wizerunkiem umieszcza.

Interesującym jest wielce dla nas znany fakt, że gnębieni i prześladowani pierwsi wyznawcy wiary Chrystusowej, poznawali się między sobą po znaku „ryby“, który na sygnetach wyryty zwykli byli nosić, — a to dla tego, że głoski składające grecką nazwę ryby, składały się równie i na imie Chrystusa. Na wielu starożytnych gemmach widzimy też z pewnością wierne wizerunki zaginionych posągów takich mistrzów, jak Fidyasz, Praksyteles, Parrhazyusz i Skopas. Wiele cennych gemm albo zaginęło na dobre, albo leży z pewnością jeszcze gdzieś w łonie ziemi lub w łożyskach strumieni; — mamy jednak mniej więcej liczne ich naśladowania z massy szklanej. Dla tego to nawet i takie naśladowania wielką mają wagę dla badacza starożytności, gdyż były wyrabiane na podobieństwo tylko najznakomitszych gemm prawdziwych, istnych dzieł sztuki, do których upowszechnienia się przyczyniały.

Kształt i barwy kamienia tak zwana „pasta szklanna“ tak wybornie naśladowała, że jeszcze do dziś dnia chłopi włoscy oszukują cudzoziemców, sprzedając im za prawdziwe gemmy te imitacye, na których zresztą bez stalowego pilnika poznać się bardzo jest trudno. Wprawdzie szkło nie jest nigdy w dotknięciu tak chłodnem jak kamień, ale o tem nie wszyscy wiedzą, a zresztą gdy przedmiot jest mały, poczuć to nie tak łatwo. Starożytne pasty szklanne z powodu mniejszej twardości mniej dobrze bywają zachowane jak kamienie, wyglądają niekiedy jak gdyby zwietrzałe i nadpsute pod wpływem ziemi w której setki lat leżały, albo wypłókane wodą która je obmywała. Niektóre zopalizowały się w skutek tychże samych wpływów i dziwnemi mienią się barwami.

Z upadkiem państwa rzymskiego nastąpił i sztuk upadek. W średnich wiekach sztuka rzeźbienia w kamieniach wegetowała zaledwie, chociaż i wtedy używano rytych kamieni do sygnetów, tylko że takowe jedynie herbami zdobiła modna naówczas

też zamierza starać się łączyć z sobą solidarnie jak najwięcéj takich interesów, przypuszcza bowiem że na tem zależy siła i możność postępu kobiecej działalności.

Spółka połączonéj pracy kobiet zarządzaną jest przez Radę, złożoną ze wspólniczek, to jest osób, które w przedsiębierstwo to włożyły swoje kapitały (udział jednéj wspólniczki nie może być mniejszym od stu rubli). Interesami Spółki kieruje administratorka pani Natalia Smólska, upoważniona do działania w imieniu Spółki, przez wszystkie wspólniczki. W sprawach stowarzyszenia panować ma najzupełniejsza jawność. Księgi i rachunki w czasie na to przeznaczonym wolno jest przeglądać osobom interesowanym. W razie sporów wyniknąć mogących pomiędzy osobami do spółki należącemi, takowe rozstrzyga sąd polubowny, na rok jeden wprzód wybrany, z trzech arbitrów złożony. Obecnie polubownemi sędziami są pp. Antoni Szateński senator, Tomasz Bilewski członek senatu i Aleksander Rodkiewicz sędzia Trybunału Handlowego.

Od czasu otwarcia i zawiązania się swego Spółka starała się i stara zakres działalności kobiecéj rozszerzyć i do rozszerzania się takowego dopomagać, a to tak za pomocą wymienionych urządzeń jak i za pośrednictwem wykładu rękodzieł i umiejętności, nauczanie których odbywało się i odbywać się będzie w zakładzie. Każde rzemiosło zaledwie na naukę którego zapisze się sześć kandydatek, natychmiast wykładanem będzie za opłatą 5 rubli miesięcznie od osoby, nadto zarząd stara się ażeby teorya bezzwłocznie w praktyce zastosowaną być mogła. Pragnąc zarazem usposobić kobiety do zajęć handlowych, Spółka połączonej pracy kobiet postanowiła przyjmować ukształcone panienki na praktykę do świeżo otwartego Bazaru, który będąc zbiorowym składem różnego rodzaju i gatunków towarów, może dać dostateczną wprawę do wyrobienia się w handlowym zawodzie.

Wszystko to jest bez zaprzeczenia bardzo pięknem, ale cokolwiek bądź mówi postanowieniami swemi o sobie „Spółka połączonéj pracy kobiet“, nie pojmujemy dla czego do składu swego wpuściła i utrzymywać zamierza napływ zagranicznych towarów, po co sprowadziła i sprowadzać zamyśla paryzkie galanterye, i sama dla siebie wytwarza zbyt niebezpieczne współzawodnictwo. Pewna dwoistość zamiarów niemile razi zastanawiający się umysł, bacznie przyglądającego się programowi myśliciela, — programowi powyższemu, który tu w streszczeniu należytem powyżéj opowiedzieliśmy wiernie. Są w nim jeszcze drobne szczegóły zasługujące na krytykę, pomijamy je jednakże umyślnie,

heraldyka. Dopiero w sławnym *cinque cento*, w wieku odrodzenia, sztuka rytowania gemm odżyła na nowo. Zainteresowano się znów zabytkami starożytnemi i znaczenie rzeźbionych kamieni dla badań nad życiem starożytnych należycie oceniono. Odszukanych gemm poczęto używać do ozdoby złotych paradnych sprzętów i naczyń, które wychodziły wtedy z pod mistrzowskiej ręki takiego Benvenuta Celliniego, i po dziś dzień budzą podziw i uwielbienie. Naśladując antyki, poczęto nowe gemmy wyrabiać, które pod względem techniki i rysunku tak są wykończone, że ich prawie nie podobna odróżnić od wzorów. Za dowód posłużyć może szmaragd znany pod nazwą: „*Cachet de Michel Ange*“, na którym wyryty jest pochód bachantek, i którego mnóstwo imitacyj narobiono ze szklannej pasty. Pieczątkę tę sławnego rzeźbiarza i malarza długo uważano za antyk prawdziwy, i dopiero nowsze badania odkryły że to wyrób późniejszych czasów. Od XVI w. nie ma już żadnej przerwy w historyi sztuki rzeźbienia w kamieniach. Można sobie łatwo wystawić jakiem ułatwieniem przy tej robocie stały się nowo wynalezione szlifowane szkła powiększające, o których starożytni pojęcia nie mieli.

Jeszcze w przeszłem stuleciu żyli znakomici rytownicy gemm, między któremi słynniejsi byli: Hübener, Natter, Pichler i Detelbach. Wyroby ich równały się niemal antykom i nie brakło też na nie lubowników i nabywców. Cesarzowa Marya Teressa bardzo sprzyjała tej sztuce, a przeciwnik jej Fryderyk pruski tak ją cenił, że znakomitszych jej mistrzów ściągał do Berlina. W Dreźnie bardzo się nią opiekowano, mianowicie za czasów zamiłowanych w przepychu Augustów. Z monarchami ubiegali się niemal o lepsze ludzie prywatni, i temi tylko okolicznościami wytłómaczyć sobie można, jakim sposobem w drugiej połowie ubiegłego wieku drezdeńczyk Filip Lippert mógł odważyć się na wydanie znanej swojej „Daktylioteki“. Są to trzy tomy drukowanych opisów i trzy drewniane skrzyneczki w kształcie foliantów, w których znajdują się tysiące odcisków znanych wówczas gemm najcelniejszych. Odciski te są po części z massy siarczanej, po części z mieszaniny gipsu z łojkiem odrabiane; jeden atoli równie jak i drugi materyał okazały się niepraktycznemi i pościerały się niebawem do niepoznania. W. przedmowie, poczciwy starowina Lippert tem usprawiedliwia wysoką cenę swego dzieła, które przeszło 200 talarów kosztowało, a mimo tego musiało się znajdować w każdej porządniejszej bibliotece, że on i dzieci jego, przy najusilniejszej pracy, potrzebowali siedm tygodni czasu na wykończenie jednego egzemplarza. Dzisiaj za parę talarów dostanie taką Daktyliotekę u antykwarza.

Z wystawy Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych w Krakowie.

Kraków w Październiku.

...W pośród rzeźb pierwsze miejsce zajmują tu obecnie prace Wiktora Brodzkiego — których jest trzy... a właściwie pięć, wszystkie z białego kararyjskiego marmuru. Pierwsza z nich, Chrystus ukrzyżowany, ma wysokości przeszło dwa łokcie; krzyż i postać Zbawiciela wyrobione z jednej sztuki marmuru. Figura Chrystusa prześlicznie modelowana, twarz pełna boleści, rezygnacyi i spokoju, a słój drzewa na krzyżu dokładnie odrobiony daje świadectwo o staranności wykończenia. Drugą pracą Brodzkiego jest Tryton. Na postumencie artystycznie odrobionym, u stóp którego trzy gniazdka ptasząt arcydrobiazgowo wykończone, spoczywa talerz w kształcie rozpołowionej muszli. Na nim leży dziecię, — aniołek ze skrzydełkami, twarzą zwrócone ku górze;—twarz dziecięcia i część jego ciała pokrywa lekka, przezroczysta zasłona... z marmuru; zasłona niezakrywająca bynajmniej rysów dziecięcia, ani kształtów jego ciała. Jestto zręcznostka nader... zręczna, która się p. Brodzkiemu wybornie udaje, ale której bodaj czy artysta ten nie nadużywa; zasłon takich, jeśli nas pamięć nie myli, w utworach jego widzieliśmy już sporo. Trzecim utworem tego artysty jest główka Jasia, który krzyczy, płacze i śmieje się. Mówimy główka, gdy należałoby może powiedzieć trzy główki—ale te trzy główki są właśnie główką jednego i tego samego Jasia, którego przedstawiają w trzech fazach. Najprzód, kiedy krzyczy, twarzyczka małego złośnika jest wykrzywiona, buzia otwarta, włoski potargane, ale zawsze to ten sam Jasio, który na drugiéj figurze tak smutny przybrał wyraz, tak spoważniał po dziecinnemu, a łzy, prawdziwe łzy ma w oczach, które spływają po policzkach z taką naturalnością i prawdą, że mimowolnie bierze ochota dobyć chustki i te niewinne łezki obetrzeć. Lecz i tego zachodu nie potrzebujesz podejmować, bo artysta sam cię wyręczył; obtarł łezki Jasiowi, na usteczka jego przywołał wesoły uśmieszek, a w oczki wlał tyle figlarnego wyrazu, że i widz mimowoli musi się uśmiechnąć do tej pięknej i sympatycznie pociągającéj trzeciej główki małego złośnika—płaczka i śmieszka zarazem. Wyborne to studium świadczy wymownie, jak miękkim i posłusznym materyałem staje się marmur w rękach p. Brodzkiego.

Pomiędzy *Jasiem* a Chrystusem na krzyżu pomieszczono *Głowę Chrystusa* p. Stattlera. Jestto głowa naturalnéj wielkości, pięknie wykonana i pełna wyrazu szlachetnéj powagi i łagodności chrześciańskiéj. Patrząc na tę twarz, czujesz, że ten kto ją posiadał musiał umieć kochać i przebaczać jak Bóg—a cierpieć jak człowiek.

Obok tych prac, zwraca na siebie uwagę olbrzymich rozmiarów posąg *Kopernika*, siedzącego nad księgami, globusem i narzędziami astronomicznemi. Dzieło to p. Gadomskiego krakowianina, wykonane z białego marmuru, pochlebnie świadczy o znanych już zresztą z prac poprzednich zdolnościach artysty. P. Gadomski wystawił przez tego kilka innych prac swoich, przeważnie portretów, pomiędzy któremi odznacza się pięknym układem i doskonałem podobieństwem popiersie pani Z. Parżnickiej, artystki dramatycznéj krakowskiego teatru

---

ze względu że nie chcemy uprzedzać wypadków, że pragniemy serdecznie aby instytucya znalazła wszelkie dane do znakomitego rozwoju, że wreszcie mniemamy iż znajdzie się w liczbie czytelniczek „Ogniska“ choć jedna, która zapoznawszy się wybornie z regulaminem, ustawą, kierunkiem, administracyą Spółki, zechce nam dać o niej z czasem dokładne sprawozdanie, my bowiem dziś spełniliśmy tylko sprawozdawczy obowiązek, o tyle, o ile najsumienniej go spełnić można było, poświeciliśmy mu bowiem niemal cały nasz odcinek. Sympatye nasze już z góry składamy w dani zakładowi, pochwały odkładamy na później, kiedy z owoców sądzić będziemy o ogrodniczkach. Dziś wypowiedzieliśmy wszystko czem przemówił do nas, nic nie pominęliśmy z tego co go stawia w tem świetle, w jakiem sam siebie postawił; nie puszczając się na manowce uwag i komentarzy, zastrzegamy jednak sobie w przyszłości prawo do głosu, w naszem osobistem i czytelniczek naszych imieniu.

Felietonistyczny zwrot pióra dozwala nam przeskoczyć teraz z Marszałkowskiej ulicy na Powązki, gdzie w tych dniach odbył się smutny obrzęd przeniesienia zwłok śp. Bakałowiczowej z katakumb do stałego grobowca, w kształcie kaplicy, wzniesionego ze składek wielbicieli jej niezwykłego talentu. Grono prawdziwych przyjaciół i kolegów zebrało się o godzinie dziesiątej w cmentarnym kościele, gdzie artyści opery wykonali mszę Stefaniego i kilka utworów Moniuszki, poczem trumna osypana wieńcami i kwieciem złożoną została w grobowcu. Pogodny i mroźny dzień, szarawą swą zimową barwą służył za tło tej żałobnej uroczystości. Nad krzyżami i pomnikami szumiał chwilowo wiatr zrywający pożółkłe liście z konarów smutnych drzew. Groby jednak zieleniły się trawami i kwietną roślinnością, pomiędzy którą prym trzymały fioletowe astry, żółtemi oczami spoglądające na mogiły. I tu jak w *Saskim Ogrodzie* akwilon miotał *obrazem* i *podobieństwem* „młodzieńczych dni marnie strwonionych“ rzucając je czasem ironicznie na groby zasłużonych i spracowanych nieboszczyków, niekiedy na marmurowe płyty— przywałające szczątki *bujnej* niegdyś młodzieży, która niestrudzona lekkim jak żart żywotem, położyła się obok ojców na wieczny sen. Cokolwiek bądź i jakkolwiek bądź— „wieczny odpoczynek racz im dać Panie!“

(*X—i.*)

Następnie zaznaczyć tu jeszcze wypada postać kobiecą naturalnéj wielkości, z twarzą pełną smutku i zadumy, któréj twórca p. Lipiński nadał miano *Opuszczonéj*, — a wreszcie parę grup, z których jedna odznacza się lekkością, swobodą i humorem, druga symbolizuje w sobie myśl głęboką i poważną. Pierwsza zatytułowana: *Czy zgadnie?* przedstawia górala, który zabiegłszy z tyłu swéj ukochanéj, zasłonił jéj oczy rękami i czeka czy zgadnie kto jéj tego figla wypłatał.

W dziale malarstwa, pierwsze miejsce zajmują naturalnie obrazy Matejki. W téj chwili nie ma wprawdzie na wystawie żadnéj nowéj pracy mistrza, ale te które się na niej znajdują są najistotniejszą jéj ozdobą i mają to do siebie, że nigdy się nie starzeją, jak zresztą wszystkie dzieła gieniuszu. W trzeciej sali znajduje się *Zawieszenie dzwonu Zygmunta*, a w drugiéj *Scena nocna*; obadwa te obrazy średnich rozmiarów, były już niejednokrotnie opisywane i sądzone przez rozmaitych sprawozdawców. Obok nich są w téj chwili na wystawie cztery portrety pędzla Matejki, odznaczające się nadzwyczajną plastycznością, sprawiającą, iż zdaje się że twarze wyskakują po za tło obrazu i z ram jego się wychylają. Portret damy mniejszych nieco rozmiarów, choć i tu twarz jest wielkości naturalnéj, nie sprawia tak silnego wrażenia jak trzy inne, a mianowicie: portret księżnéj Czartoryskiéj, hr. Pusłowskiéj i hr. P. Moszyńskiego.

Oprócz tych portretów jest jeszcze godzien zaznaczenia portret ks. Czartoryskiego malowany przez Rodakowskiego, a odznaczający się doskonałością rysunku i niezmiernie naturalnym kolorytem.

Z działu akwarel uderzyć musi każdego przedewszystkiem wielkich rozmiarów akwarella Kossaka, znana już z warszawskiéj wystawy Tow. Zach. Sztuk Pięknych, a przedstawiająca podróż Rewery Potockiego, objaśnioną pięknym wierszem Wincentego Pola.

Dalej zatrzymać się musimy przed dramatem przedstawionym w trzech małych wodnemi farbami malowanych obrazkach, pędzla nieodżałowanéj pamięci Grottgera. Treść wzięta z wojen szwedzkich: pierwszy obrazek przedstawia pożegnanie rycerza z ukochaną, przed progiem domowéj zagrody; na drugim widzimy tego samego rycerza na koniu, wśród strasznéj, morderczéj bitwy; trzeci wreszcie obrazek przedstawiający pobojowisko, jest ostatnim aktem tego krótkiego dramatu: młody rycerz trafiony kulą w samo serce, leży wśród innych trupów, i nikt o nim nie pamięta oprócz kilku kruków, które zwietrzywszy żer, krążą nad ciałem nieszczęśliwego. Mało tego, i wszystko to proste takie i niby zwykłe, że trzeba było tak potężnego talentu jaki posiadał Grottger, aby z tych trzech scen utworzyć cały poemat, przenikający do głębi serca, pełen prawdy i niekłamanego uczucia. Na czterech innych obrazkach, znajdujących się na wystawie w kopiach, przedstawił Grottger: *Wychowanie szlachcica polskiego*.

Aleksander Kotsis najwięcéj prac ma w téj chwili na wystawie i trzeba przyznać że wszystkie wielce sympatyczne i udatne, pomimo różnorodnego swojego charakteru. Oprócz *Judyty* i *Bachantki*, będących jakby studyami, najwięcéj się w ogóle podobają obrazki rodzajowe, do których treść czerpie artysta z życia ludu naszego. Myśl wszystkich prawie szczęśliwa, pełna wdzięku i prostoty, przy dobrym rysunku i właściwym kolorycie, stanowi jak zwykle wysoką wartość utworów tego utalentowanego artysty.

P. Gryglewski, mistrz perspektywy, wystawił dwa dawniéj, już znane obrazy t. j.: *Salę w Podhorcach* i *Pokój królowéj Maryi Kazimiery*, a p. Gerson z Warszawy dał swój dużych rozmiarów i wysokich zalet pełen obraz, przedstawiający *Żydów proszących Kazimierza W-go o przytułek*.

Z rzeczy dawniejszych, stale znajdujących się na wystawie, zwraca uwagę *Wanda* Piotrowskiego. Jest to niezawodnie najlepszy z istniejących dotąd obrazów przedmiot ten traktujących, chociaż talent p. Piotrowskiego zwrócił się zdaniem naszem na właściwszą dla siebie drogę, poświęciwszy się malarstwu rodzajowemu, a mianowicie odtwarzaniu scen z życia ludu. W tym kierunku dość tu będzie wspomnieć jego obraz „Flisacy“ z którego sztych stanowi jednę z premiowych rycin Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych.

SZKICE
Z DZIEDZINY CHEMII.

(Ciąg dalszy.)

Piętnaste i szesnaste stulecia wydały dwóch znakomitych alchemików.

Nazwisko pierwszego Bazyli Valentin, jest raczéj pseudonymem. Bądź co bądź Valentin pozostawił wiele pism dziś jeszcze cennych i traktujących o antymonie i roli jaką to ciało odgrywa w metalurgii i medycynie. Antymon zwracał zawsze na siebie uwagę alchemików. W postaci siarku najczęściéj napotykany w naturze, nazywanym bywał w tym stanie *wilkiem metalowym* (Lupus metallorum), gdyż użyty do oddzielenia złota i srebra od obcych metalów, zmieniał nagle te ostatnie w siarczyki, pożerał więc że tak powiemy jak wilk przymieszkę, a tem samem złoto i srebro oswobadzał.

W pismach swych Valentin jest równie ciemnym jak współcześni jemu adepci wiedzy hermetycznéj, podaje wszelako wiele szacownych wskazówek do rozmaitych procesów chemicznych. Valentin pierwszy obznajamia nas ze sposobem wydzielania alkoholu z wina i płynów fermentujących, — a okazując że blaszka żelaza zanurzona w roztworze soli miedzianych, pokrywa się warstwą miedzi, tem samem podaje punkt wyjścia dla galwanoplastyki. Zapewne cienka warstewka miedzi osadzona na żelazie, nie była celem śmiałych jego dążeń, gdyż on wierzył gorąco w możebność zamiany, czyli tak zwanéj transmutacyi żelaza w miedź.

Drugim słynnym alchemikiem był Filip Aureolus Teofrast Hohenheim Bombastus, słynny lekarz zwany Paracelsem, — mąż szorstki, porywczy, dziwak i potrosze opój i rozpustnik, jak podaje tradycya, lecz obdarzony umysłem bystrym i przenikliwym, chłoszczącym niemiłosiernie medycynę średniowieczną. Pomimo to wszystko Paracelsus jest przesądnym do zbytku, w najprostszych zjawiskach upatruje on wpływ gwiazd i potęg piekielnych. Z tego może względu pewien pisarz szwedzki utrzymuje z niezachwianą wiarą, że szatan podał temu alchemikowi przepis wyrabiania *alcahestu*, to jest uniwersalnego stopnika rozpuszczającego wszelkie ciała. Paracelsus jak najstaranniej badał cynk, który mu też swą nazwę dzisiejszą zawdzięcza, w starożytności bowiem metal ten oznaczano nazwą *cadmia*, i prawdopodobnie znano tylko w stanie blendy i galmanu. Rzeczywistą przecież zasługą Paracelsa są jego prace, któremi obalił niedorzeczną farmakopeję Galiena i zastąpił ją lekarstwami prostemi, zaczerpniętemi bezpośrednio z królestwa mineralnego. Medycynie ofiarował on opium, liczne przetwory rtęciowe (merkuryalne), i mnóstwo innych leków dziś jeszcze będących w użyciu.

Słynny wszakże odrodziciel terapii, posiadał wyobraźnię najoczywiściéj choro bliwą. Nie poprzestając na wywoływaniu djabła, jak to czynili współcześni mu alchemicy, zapragnął wytworzyć go sztuką. Epoka ta przekazała nam receptę na wyprodukowanie *Homunculus'a*. Był to ni mniéj ni więcéj tylko rodzaj ducha opiekuńczego, który pod wpływem dobrego wychowania zamienić się mógł w człowieka uzdolnionego do robót najsubtelniejszych. Nie będziemy podawać téj dziwacznej recepty obdarzającéj życiem Homunculusa; dodamy tylko że twórca tylu rzeczy użytecznych i tylu niedorzeczności, zakończył życie w nędznéj oberży salzburskiej, w skutek szalonéj orgii.

Alchemicy których dotąd wymienialiśmy, ci apostołowie że tak powiemy chemii fantastycznéj, byli bądź co bądź ludźmi dobréj wiary—ścigali marę swéj wyobraźni, przekonani najmocniéj że ich marzenia mogą się urzeczywistnić — trzeba ich zatem odróżnić w imię prawdy historycznéj od tłumu szarlatanów, w których ręku alchemia była tylko narzędziem do rozmaitego rodzaju fałszerstw, oszustw i nadużyć, z których częstokroć korzystali magnaci i dostojnicy wszelkiego stanowiska.

Henryk VI, Edward III i Edward IV królowie angielscy, zalewali ląd stały Europy monetą hermetyczną — amalgamatem czyli stopem miedzi i złota, w którym wszakże to ostatnie mieściło się w bardzo małéj ilości. Już przed niemi Barbara de Cilley, żona cesarza Zygmunta, wprowadziła w obieg monetę ze złota i srebra hermetycznego, vulgo

fałszywego, gdyż owa moneta składała się z miedzi i arszeniku, to jest ze stopu nieposiadającego żadnéj wartości. Ferdynand III cesarz niemiecki, wyczerpany finansowo przez wojnę trzydziestoletnią, żądał również usług alchemików. Karol VII płacił żołnierzom żołd podobnąż monetą. W owe smutnéj pamięci czasy nie zbywa na prestydygitatorach wszelkiego pokokroju, cisnących się gwałtem, bez żadnych kwalifikacyj, pod sztandar nauki, którą reprezentowała alchemia.

W ostatniéj połowie czternastego stulecia i w pierwszych latach pietnastego losy alchemików dziwnie się zmieniają. Dotąd dla widziadła tracili majątki; ruina, zniechęcenie i rozpacz były ostatecznym rezultatem ich usiłowań. Nagle zmienia się ich położenie; ludzie ubodzy przychodzą do bogactw i sławy, wiedza hermetyczna prowadzi ich do znaczenia i zamożności.

Mikołaj Flamel był lichym kaligrafem i ta sztuka stanowiła jedyną podstawę jego bytu; przytem prowadzenie się jego było wcale przyzwoitem—z tego też może względu zwróciła nań uwagę piękna i młoda wdowa Pernelle, która wniosła mu w dom wraz z pękatym mieszkiem, praktyczny rozum i oszczędność. (*D. c. n.*)

ROZMAITOŚCI.

Ważność gimnastyki w wychowaniu młodego pokolenia i w ogóle zbawienny jej wpływ na rozwój sił fizycznych człowieka, z którym w ścisłym związku i rozwój jego umysłowy zostaje, od dość już dawna powszechne znalazły uznanie, i obecnie w całéj już niemal Europie nauka gimnastyki stała się nieodłączną częścią wychowania zarówno prywatnego jak publicznego. U nas tylko widoczne korzyści z tąd wypływające nie zdołały jakoś dotąd zdobyć sobie należnego ocenienia i z dziwną obojętnością jeśli nie z lekceważeniem traktowane bywają. O tej smutnéj prawdzie przekonywają nas od paru lat ogłaszane sprawozdania tutejszego nauczyciela gimnastyki, p. Daniela Wyrzykowskiego, z których ostatnie za rok szkolny 187⁴/₅, właśnie leży przed nami. Żałujemy, że brak miejsca nie pozwala nam przytoczyć szczegółowych dat sprawozdaniem tem objętych; podamy jednak choć summaryczne cyfry, wielce i tak wymowne. W zakładzie gimnastycznym p. W. w ciągu tego roku brało lekcye osób 163 w 828 godzinach; na mieście 784 osób w 828 godzinach. Wynagrodzenie otrzymane przez gimnastę za lekcye wyniosło razem rsr. 499 kop. 65; wydatki na: lokal, ogłoszenia, opał, światło i t. p. wyniosło rs. 498 kop. 91, tak, iż za całoroczną pracę przypadło nauczycielowi kopiejek 74!... Jeżeli do tych kilku cyfr dodamy jeszcze, że p. Wyrzykowski za lekcyę gimnastyki u siebie pobiera 11 kop. — wyraźnie: jedenaście kopiejek — od osoby, i że znalazły się cztery takie naukowe zakłady, które z ofiary bezpłatnego udzielania lekcyj gimnastyki, korzystać nie chciały, — będziemy mieli w ogólnych wprawdzie tylko zarysach ale mimo tego dobitnie nakreślony obraz rozkwitu gimnastyki w Warszawie. Narzekamy na ogólne skarłowacenie rodu ludzkiego, na coraz większy upadek sił fizycznych w młodych pokoleniach, nie żałujemy grubych nie raz pieniędzy, a choćby i z żalem musimy je wydawać na leki, któremi pragniemy ratować wątłe organizmy naszych dzieci, a z niedarowanem zaślepieniem pomijamy lub odtrącamy daleko tańszy a najskuteczniejszy środek zapobiegający złemu, które gdy już przyjdzie, wielkim nakładem kieszeni, spokoju i szczęścia własnego, napróżno często-kroć odwrócić usiłujemy!... Czyżby nie był już czas na refleksyą i zwrot w tym kierunku?...

Luźne notatki z podróży odbywanych po kraju

przez

I. L. Kaczkowskiego.

(Kanał Augustowski.)

Okolice przedzielające Niemen od Narwi wpływającej do Wisły, sa dosyć wyniosłe, górzyste i przerznięte licznemi wąwozami i strumieniami łączącemi mnóstwo jezior i bagnisk, z których biorą źrodła różne rzeki i potoki. Powierzchnia ziemi składa się przeważnie z gliny napływowej i piasków, zawierających w znacznej obfitości zaokrąglone ułamki granitu, skał szwedzkich, finlandzkich, konglomeraty czyli zlepy okrągławych kamieni.

Naturalne zatem położenie tej miejscowości zrodziło myśl utworzenia linii nawigacyjnej łączącej port Windawski z Niemnem i Wisłą. Główne pobudki jakie skłaniały do urzeczywistnienia tych planów były:

1. Zabezpieczenie zewnętrznego handlu w Królestwie Polskiem od wpływu sąsiednich mocarstw.

2. Uwolnienie płodów rolniczych i przemysłowych kraju, od dowolnego i uciążliwego przechodowego cła pruskiego.

3. Ułatwienia związków handlowych między północnemi prowincyami cesarstwa rossyjskiego. Nakoniec

4. Nadanie życia handlowi wewnętrznemu.

Rozpoczęte roboty w dniu 27 Lipca 1824 r. przez b. Komissyę Rządową Wojny pod naczelnym kierunkiem generała Maletskiego, przerwane w r. 1830, ukończył Bank Polski w 1839 roku. Kanał zwany Augustowskim przechodzi gubernię Suwalkską, poczynając od wsi Dembowo do punktu Niemnowo nad rzeką Niemnem, trzy mile poniżej Grodna, dwie od Sopoćkinia i wsi kościelnej Hołynka. Ztąd idzie wielkim przekopem, a od wsi Kurzyniec wychodzi rzeką Hańczą Czarną, wpadającą do małych jezior, które, przeciąwszy żwirówkę Warszawsko-Kowieńską, łączy z większemi jeziorami: Mikaszewo, Krzywe, Paniewo, Orlewo, Studzienniczne, Białe i Necko, a te pod Augustowem, gdzie jest przystań służąca za odpoczynek i główne zebranie statków, łączy znów z rzeką Nettą. Ztąd od wsi Dembowa ciągnie się rzeką Biebrzą, inaczej Bobra zwaną, od osady Wizny (gub. Łomżyńska), następnie łączy się z Narwią, a pod Serockiem z Bugiem i razem z nią pod Modlinem wpływa do Wisły. Długość tej linii spławnej od Wisły do Niemna wynosi wiorst 438 ½ czyli mil 62½.

Dla pożądanego spławu statków woda na kanale ma znacznie wyższy poziom od rzecznej a dla utrzymania tego stanu w mierze, jezioro Serwy stanowi główny rezerwoar zapasowych wód dla kanału. Ma ono sześć wiorst długości a jednę szerokości i leży na 132½° wyżej rzeki Niemna a 55° wyżej Biebrzy. Zawiera w sobie 714,000 kubicznych sążni wody, dostatecznych do przejścia przez kanał 4,760 statków, licząc na każdy do siedmdziesięciu pięciu sążni kubicznych.

Szluz pobudowanych z cegły i kamienia jest ośmnaście a wielkich grobli zatrzymujących wodę trzy. Każda ma długości sto pięćdziesiąt sześć, a szerokości dwadzieścia stóp angielskich, zastosowana do zwyczajnego rozmiaru berlinek. Szluzy te są w następnych miejscowościach: Dembowo, Sosnowo, Borki, Białobrzegi, Augustów, Przewięż, Swoboda, Gorczyca, Paniewo, Perkuć, Mikaszówek, Sosnówka, Tartak, Kudrzynki, Kurzynice, Wołkusz, Dąbrówka i Niemnowo. Z tych Gorczyca jest podwójną, a Niemnowo potrójną szluzą.

Pod wsią Gorczycą, kończy się rozdział kanału szluzą. Ztąd żegluga na przestrzeni dwunastu wiorst ciągnie się przez jeziora: Orlewo, Paniewo, Krzywe i Mikaszewo, połączone między sobą naturalnemi potokami i przekopami. Rzeka Hańcza, zbliżając się ku ujściu kanału, na którym urządzoną jest szluza Sosnowką, staje się spławną do wsi Czortek, przez wyprostowanie jej zakrętów, zbudowanie pięciu szluz i innych środków hydraulicznych. Wody jej zwrócone są w rzeczkę Marychę, a przebiegłszy przez jeziora: Hleboki, Muły, Szlamy i strumień Hlebieszkę, znowu wchodzą w dawne swe koryto do tej części rzeki, która jest już oddzielona od kanału.

Od wsi Czortek droga spławna opuszcza koryto rzeki Hańczy i wchodzi w kanał, przekopany na przestrzeni sześciu wiorst do Niemna w błotach Kurkulskich.

Oprócz tego zbudowano na kanale drewnianych upustów trzydzieści trzy, mostów zwodzonych siedm, mostków z upustami na drodze do holowania około pięćdziesięciu i dziewięć portów dla statków.

Ogół kosztów budowy wynosił około dwóch milionów rubli. Budowa ta jednakże nie dopięła zamierzonego celu, cały jej użytek ogranicza się na słabej li tylko komunikacyi wewnętrznej, a z chwilą otwarcia kolei do Eidkun, utracił zupełnie swe nawigacyjne znaczenie.

Druk J. Noskowskiego, Mazowiecka Nr. 11. Дозволено Цензурою, Варшава 25 Октября (6 Ноября) 1875 г. Wydawca i Redaktor, Bronisław Przyrembel.

PRZYSIĘGA DEBENHAMA

POWIEŚĆ,

przez

Amelią B. Edwards,

z angielskiego tłómaczona.

Tom drugi.

(Dalszy ciąg.—Patrz dodatek do Nr. 57.)

ROZDZIAŁ IX.

Niebezpieczeństwo morza.

Jak tylko się jednak przebudził, uparł się żeby wstać i odbyć ranną wartę na niego przypadającą; utrzymywał, że wyspawszy się doskonale, czuł się silnym i rzeźwym i nie dał się przekonać. Przez cały ten dzień pracował jak zwykle; czas jeszcze był brzydki i zimny, wiatr zawsze dął silnie, ale on powtarzał że zimno go orzeźwiało, że rana mu nie dokuczała i że nigdy nie był zdrowszym.

Tymczasem *Ptak Burzy*, uszkodzony i sprowadzony z drogi przez burzę, posuwał się o wiele wolniej, a do tego gdy postrzeżono dwóch Amerykanów kręcących się koło drzwi prowadzących na dół, kapitan Hay w tej chwili wpakował ich nazad do ciemnej komórki i załoga powróciła do szczupłej liczby jaką miała poprzednio.

Tego wieczora, gdy De Benham się położył, żeby mu dzwoniły od zimna, głowę i ręce miał w ogniu a nogi zimne jak lód; całą noc marzył, zrywał się, mówił we śnie, a nazajutrz rano puls jego uderzał sto dwadzieścia razy na minutę, i zdawało mu się że głowa mu pęknie, tak skronie mu biły. Nieugięta wola przemogła jednak jeszcze; wstał, ugotował śniadanie dla załogi i jeńców, i razem z drugim poszedł wyciągnąć baryłkę mięsa, groch suszony i inne zapasy żywności ze składu. W godzinę potem zawołał na Arczybalda i powiedział mu:

— Arczy, mój kochany, muszę się poddać, nie mogę się już na nogach utrzymać. Ta przeklęta rana musiała mnie do tego stanu doprowadzić.

— Byłbyś powinien dawno temu uledz, powiedział Arczy.

— Może być. Ale wszystko to jedno, tylko mnie słuchaj... myśli mi się plączą... Chcę ci powiedzieć żebyś nie zapomniał, że moje księgi i papiery są w kufrze obok mego łóżka. Jeżeli będę zanadto chory żeby o nich pamiętać, tobie je powierzam.

— Jeżeli tylko będziesz spokojnie siedział i nie męczył się dopóki do Horty nie dojedziemy, powiedział Arczy niespokojny, będziesz niedługo zdrów zupełnie.

— Nie wiem; w każdym razie kapitan Hay odpowiada za okręt i ładunek aż do Liwerpoolu. W Liwerpool, ty jako pomocnik nadzorcy ładunku, nie powinieneś opuścić okrętu, dopóki nie odbierzesz rozkazów pana Hardwicke. Teraz pomóż mi się położyć, i powiedz kapitanowi że jestem chory.

Ze smutnem sercem Arczy zrobił co mu polecono; przed wieczorem jeszcze De Benham leżał w silnej gorączce marząc o dawnem studenckiem życiu na Zollenstrasse am Main.

ROZDZIAŁ X.

Powrót do domu.

Wielki statek parowy, jeden z tych które kursują pomiędzy Anglią i Rossyą, zatrzymując się przy wyspach Azorskich, wpłynął po portu Liverpool smutnego dnia Grudniowego 1861 roku. Czas był mglisty i pochmurny, a chociaż jeszcze było dość wcześnie, zaczynało się już ściemniać. Podróżni wylądowali, i po zrewidowaniu bagaży na komorze wpuszczono przyjaciół i krewnych, spieszących na spotkanie ukochanych, ci zaś których nikt nie witał, wsiadali czem prędzej do omnibusów i dorożek, spiesząc się, aby jak najprędzej stanąć u kresu podróży.

Pomiędzy temi ostatniemi znajdowali się dwaj młodzi ludzie; jeden z nich jasnowłosy, opalony, wesoły i zdradzający pewną przesadę marynarską, okazujące właśnie, że urodził się i wychował na lądzie; drugi śniady, szczupły, blady, z trudnością się posuwający, wyraźnie dopiero co powstał z ciężkiej choroby, i nie byłby miał może siły utrzymać się na nogach, gdyby nie silne ramię przyjaciela. Niewiele rzeczy mieli z sobą i kazali zaraz zawieść się na dworzec kolei żelaznej londyńdkiej. Tu dowiedzieli się że pociąg wychodził właśnie do Londynu za pół godziny.

— A następny? zapytał chory.

O jedenastej, odpowiedział posługacz, ale przychodzi do Londynu dopiero o czwartej i trzydzieści siedm minut z rana.

— Pierwszy za wcześnie, drugi za późno, zauważył drugi podróżny. Nie możesz wyjeżdżać nie odpocząwszy, zjemy więc obiad, gdyż o podróży nocą nie ma co myśleć.

— Ja myślę że mogę wyjechać za pół godziny, odpowiedział chory. O której godzinie staje ten drugi pociąg w Londynie.

— O wpół do jedenastej.

— Byłbym więc w domu o jedenastej.

— Daleko lepiej przenocować w hotelu i jutro rano wcześnie wyjechać, namawiał przyjaciel.

— Nie, nie, nie, chcę zaraz wyjechać. Dwadzieścia cztery godzin tym sposobem zyskam.

— Najwięcej pietnaście.

— Nie, dwadzieścia cztery. Pana Hardwicke nie byłoby w kantorze. A potem wiesz przecie że od siedmiu miesięcy nie widziałem matki.

— Trzeba ustąpić up rtym. Ale chodź przynajmniej co zjeść; umieram z głodu.

De Benham i Arczy, bo naturalnie byli to oni, poszli do sali jadalnej, aby coś zjeść. O piątej było już zupełnie ciemno i jechali do Londynu oświeceni słabym blaskiem lampy kolejowej. De Benham położył się na ławce, i kiedy go Arczy okrył płaszczem i kołdrą podróżną, głęboko usnął.

Siedm tygodni minęło jak odebrali Amerykanom *Ptaka Burzy* i jak De Benham zachorował. Gdy go przenoszono z okrętu do miasta Horty, zdawało się wszystkim, że nie ujrzy już nigdy rodzinnej wyspy. Długo leżał w spokojnem pomieszkaniu po za miastem, na świeżem powietrzu, doktór miejscowy, wraz z angielskim świeżo przybyłym do portu, doglądali go; Arczy i siostra miłosierdzia z sąsiedniego klasztoru pilnowali go dzień i noc, nie opuszczając ani na chwilę, dopóki lekarze nie oświadczyli, że niebezpieczeństwo minęło, i wydarli go śmierci.

Nie bez wielkich trudności kapitan *Ptaka Burzy* potrafił doprowadzić swój statek do portu, szczególnie gdy chorobą De Benhama i pielęgnowaniem jakiego wymagał, załoga jego jeszcze zmniejszoną została. Czternastego jednak dnia po burzy, okręt zawinął do portu w bardzo co prawda smutnym stanie; jedna szruba była popsuta, jeden maszt, dach od kuchni i brzeg jego w dwóch miejscach zostały porwane siłą wiatru i fali, a załoga blada i wycieńczona przedstawiała smutniejszy jeszcze widok. I najbliższym nawet trudnoby było poznać przyjaciół i krewnych w tych ludziach o długich brodach, okrytych kurzem ośmnastodniowym.

Gdy tylko zarzucili kotwicę na neutralnych wodach, kapitan Hay wypuścił na wolność Amerykanów. W ogóle spokojnie z niej korzystali żeby wylądować, ale porucznik Kissiek nie chciał nikomu podać ręki przy wyjeździe, a Meksykanin, którego zapas przekleństw zdawał się nieprzebranym, opuścił okręt, klnąc w najokropniejszy sposób wszystkich Anglików. Wysadziwszy ich na ląd kapitan Hay nie troszczył się już o nich i musieli sobie sami radzić, dopóki jakiś statek Stanów Zjednoczonych nie przybył do Horty i nie zabrał ich.

Ptak Burzy pozostał tam tydzień i dzień jeden, i przez ten czas uczyniono wszystko co było można żeby choć jakkolwiek naprawić uszkodzenia i uczynić go zdatnym do podróży. Nowy maszt został wzniesiony, poręcze i dach nowy dany, a zręczny nurek oczyścił szrubę z płótna i bawełny naokoło niej owiniętych. Kapitan Hay najął także tam ludzi dla uzupełnienia załogi, a p. Zacharyasz Polter wyladował żeby powrócić do Nassau na pierwszym parostatku udającym się do Indyj Zachodnich.

Zabrawszy nareszcie węgiel, wodę i potrzebne zapasy żywności, kapitan Hay podjął się oddać w ręce pana Hardwicke ładunek, zostawił więc Arczybalda dla czuwania nad De Benhamem, a przekonawszy się że ten ostatni wyszedł z niebezpieczeństwa, podniósł kotwicę, udając się wprost do Anglii.

Takim to sposobem, gdy Arczy i De Benham przybyli do Liverpool w ten posępny grudniowy dzień, *Ptak Burzy* znajdował się już w Anglii od trzech tygodni i ulegał dokładnej reparacyi w warsztatach w Birkenhead.

Na pół drogi do Londynu, De Benham obudził się i usiadł.

— I znów jesteśmy w Anglii! powiedział. Zaledwie mogę uwierzyć że dopiero siedm miesięcy temu udawałem się tą samą drogą żeby wsiąść na *Ptaka Burzy*. Zdaje mi się, że już dwa lata minęły od tego czasu.

— Przeżyłeś dwa lata w tych siedmiu miesiącach, odrzekł Arczy. Ja także mam podobne uczucie.

— Dziesięć lat przeżyłem od tych dni spędzonych nad Wyeją, a to jak było dawno?

— Blizko siedmnaście miesięcy temu.

De Benham westchnął.

— Musiałem się bardzo zmienić od tego czasu, Arczy? spytał po niejakiem milczeniu.

— No tak, zapewne, trochę, odpowiedział przyjaciel jakby z niechęcią.

— Na gorsze, co?

— Jesteś... jesteś więcej światowym.

— To jest że więcej dbam o rzeczy tego świata.

Arczy wahał się.

— Zdaje mi się, powiedział nareszcie, że każdy ma prawo robić majątek jeżeli może.

— Dla czegoż więc jestem godniejszym nagany od innego, gdy się staram o nabycie majątku, od pana Hardwicke na przykład?

— Ja wcale tego nie mówiłem, powiedział Arczy.

— Ale miałeś to na myśli.

— Bynajmniej, rzekł Arczy. Ja ciebie wcale nie oskarżam, ty się sam oskarżasz. Ja nawet nie mówiłem żebyś więcej dbał o rzeczy tego świata.

— Rzeczy tego świata! powtórzył z niecierpliwością De Benham. Mój Boże! gdybyś tylko wiedział... Nie dla siebie to czynię, ale dla mojej matki, dla tych co już nie żyją, dla umarłych!

— Chciałbym żebyś się tak nie unosił, powiedział Arczy. Zapominasz jak jesteś osłabionym.

Ale De Benham ciągnął dalej, coraz bardziej się zapalając.

— Nic nie dbam o pieniądze, jako pieniądze, mówił. Czy myślisz że chcę być bogatym żeby używać zwykłych przyjemności jakie daje bogactwo, żeby mieć piękne konie, licznych służących, wykwintne obiady, kosztowne wina? Jeżeli masz takie o mnie wyobrażenie, to mogę ci powiedzieć że mnie nie znasz. Byłbym gotów całe życie chodzić piechotą, jeść chleb suchy i pić czystą wodę.

Arczy spojrzał na zegarek.

— Już tylko godzina i czterdzieści minut, powiedział chcąc odwrócić rozmowę. Czy nie lepiej by było żebyś się położył?

— Nie, nie, bardzo mi tak dobrze.

— Pani De Benham zupełnie się ciebie nie spodziewa dzisiaj.

— Zupełnie. Ale, na miłość Boską! Arczy, pamiętaj nie przekręcać naszego nazwiska.

— Przepraszam cię, powiedział wesoło Arczy. Pani De Benham, powinienbym był powiedzieć. Ale dopiero wczoraj mi o tem mówiłeś, i trudno od razu przyzwyczaić się do tego.

— Spodziewam się że nie, odrzekł De Benham, i we wszystkiem co mówił znać było ukrytą drażliwość chorego. Spodziewam się że nie. Jest to podłe zepsucie szlachetnego normandzkiego nazwiska.

— Czy De Benhamy są szlachtą? zapytał Arczy.

— Bez wątpienia. Sama ortografia, dzieląca nazwisko na dwie części jest, tego oznaką.

— Jest to jednak miło odziedziczyć piękne i starożytne imie, powiedział Arczy. Nie pojmuję dla czego dawniej pozwalałeś żeby go przekręcano.

— Dla tego że się o tem dowiedziałem dopiero... dopiero zaprzeszłego lata.

— Dla czego go więc nie zmieniłeś?

De Benham potrząsł głową.

— Nie miałem wtedy grosza majątku, powiedział, nie chciałem hańbić mego nazwiska.

— Nie jest to hańbą być ubogim.

— To zależy od rodzaju ubóstwa. Człowiek może być w wojsku i posiadać tylko swoją pensyę i szablę a jednak nie być niższym od najbogatszego para Anglii, ale nie może mieć do tego pretensyi, jeżeli gra na organach w ubogim kościołku w City za dwadzieścia pięć funtów na rok, i daje lekcye muzyki dzieciom garbarzy i rzeźników.

— Myślałem że muzyka jest szlachetniejszym zawodem od handlu, powiedział Arczy.

— Abstrakcyjnie, uważając ją jako jedną ze sztuk pięknych, tak; ale w rzeczywistości, jako sposób lichego zarobku, nie.

— A twoje marzenia zostania kiedyś wielkim kompozytorem, drugim Meyerbeerem lub Mendelsohnem, czy rozwiały się na zawsze?

— Na zawsze? O nie, spodziewam się że nie. Zależy to... jeżeli kiedy będę dosyć bogatym, jeżeli kiedy opuszczę to życie pracy i zasłużę na odpoczynek...

— Dość bogatym! przerwał Arczy. Myślałem że już jesteś dość bogatym.

Ale De Benham znów potrząsł głową.

— Zmęczony jestem, powiedział; muszę się położyć. Jakże te wagony trzęsą.

Położył się znowu i Arczy jeszcze raz okrył go kołdrą i dał mu się napić wina które mieli we flaszce.

— Może się trochę jeszcze prześpisz, powiedział.

De Benham odpowiedział że sprobuje, zamknął oczy i nic nie mówił, dopóki nie dojechali do Londynu.

Arczy wtedy odebrał rzeczy, zawołał na dorożkę i zawiózł przyjaciela do domu.

— Wejdziesz ze mną i przywitasz się z moją matką, powiedział De Benham, czekając żeby mu otworzono.

— Nie, nie uczynię tego, odrzekł Arczy, niech się tobą nacieszy dzisiaj, a ja zaraz jadę, nim drzwi otworzą.

Za chwilę, podróżny był w objęciach matki, okryty łzami i pieszczotami.

— Ale musiałeś być bardzo chory! powiedziała, kiedy pierwsza chwila radości minęła. Widzę że daleko więcej chorowałeś niż o tem donosiłeś.

— Najdroższa matko, kiedy juz raz najgorsze minęło, na cóż miałem cię martwić opowiadaniem o niem.

— Najgorsze? Cóż było najgorszem? Powiedz mi wszystko mój kochany.

— Wiesz, że nie mogliśmy odebrać okrętu bez walki, i dostałem tu, w prawy bok pchnięcie nożem od jednego z tych przeklętych Amerykanów...

— Ranny! o mój Boże! a wtedy?

— Wtedy dostałem jakiejś gorączki.

Lady De Benham krzyknęła i znów zarzuciła mu ręce na szyję i całowała go namiętnie. On, jej syn, jej skarb jedyny, był niebezpiecznie chorym, a ona przy nim nie była, nie pielęgnowała go. Zaledwie mogła temu uwierzyć, zdawało jej się to zanadto okropnem aby mogło być prawdziwem.

— I za co, i dla kogo tak cierpiałeś? powiedziała z goryczą. Dla jakiejże sprawy naraziłeś twoje życie tak drogie? Ani dla honoru, ani dla sławy, tylko dla handlu, dla kilku nędznych pak bawełny, i za podły zarobek. Dla tego człowieka z City, którego zapłatę raczysz przyjmować. O Temple! o mój synu!

— Kochana matko, odpowiedział śmiejąc się De Benham, bądź pewna że dla pana Hardwicke samego nie poszedłbym nawet ztąd do kościoła św. Pawła. Nie jestem tak wspaniałomyślnym. Co zrobiłem, uczyniłem dla siebie, dla ciebie.

— Nie dla mnie! zawołała z oburzeniem. O nie! nie mów że ranny byłeś i że chorowałeś dla mnie!

— Więc powiem, że dla tego co nazywasz podlemi zyskami.

— Żartujesz sobie z tego wszystkiego, powiedziała lady De Benham, ale cóż byłoby się ze mną stało gdybym... gdybym była ciebie straciła?

— Ale nie utraciłaś twego syna, matko! Nie utraciłaś mnie, a ja zarobiłem sześćdziesiąt tysięcy funtów szterlingów.

ROZDZIAŁ XI.

Odkrycie.

De Benham za swoim powrotem został sławnym człowiekiem. Historya odebrania statku od rozbójników morskich, i podobnych do woskowych figur stojących w wystawach fryzjerów, ozdabiały stronnice jednego z tanich pism perłatach, i on i kapitan Hay byli jej bohaterami. Drzeworyt Ptaka Burzy, wykonany podług rysunku artysty w tym celu wysłanego do Birkenhead, ukazał się w Illustracyi, dwa nadzwyczajnie fantazyjne portrety przedstawiające kapitana i nadzorcę w stroju walecznych rozbójników morskich, i podobnych do woskowych figur stojących w wystawach fryzjerów, ozdabiały stronnice jednego z tanich pism peryodycznych wychodzących dla ludu, i znajdowały się w sklepach wszystkich przedających gazety, i na stołach każdej kuchni w stolicy. Wielki dramat morski w sześciu obrazach, miał niedługo wszystkie wyprawy Ptaka Burzy przedstawić na jednym z teatrów przedmieściowych. Przez jeden cały dzień, we wszystkich warstwach towarzystwa, o niczem innem nie mówiono; prowincyonalne dzienniki chwyciły się tegoż przedmiotu i przez jeden tydzień nim tylko uraczały swych czytelników. Jednem słowem, kapitan Hay będąc charakteru skromnego, niecierpiący być na widowni, i nienawidzący mów, tak był zmięszany zapałem przyjęcia jakiego doznał, obiadami które musiał zjadać, pytaniami wciąż mu zadawanemi, ukłonami jakie musiał oddawać, że po tygodniu uciekł od swojej sławy i schronił się pomiędzy krewnemi, w głębi Kornwalii.

De Benham nareszcie przyjechał, i świat gotów był w nim powitać większego jeszcze bohatera od kapitana Hay. Był młodym, dystyngowanym, przystojnym, a co najwięcej, został rannym, i był jeszcze cierpiącym wskutek tej rany. Czegóż więcéj mogła pragnąć publiczność chciwa wrażeń i pragnąca obsypywać swego bohatera obiadami, mowami, adresami, chwytać go za każdą sposobnością, błagać go o szczegóły biograficzne, o autograf, o fotografię, o monogram, o wszystko co jego było, i prześladować nie dając mu wytchnienia. Ale na nieszczęście De Benham nie chciał się poddać i był w swoim rodzaju równie trudnym do pochwycenia jak kapitan Hay. Głuchym był na nalegania biografów ludowych tygodniowych pism, nauczył Lady De Benham odpisywać grzecznemi odmowami na bileciki panienek błagających go o portret lub podpis. Obecny stan jego zdrowia był dostateczną wymówką dla odmówienia towarzystwom morskim i lądowym, życzącym sobie uczcić go ucztami. Zanadto był dumnym aby przyjmować tak różnorodne zaproszenia, i zawiele dbał również o zachowanie swego incognito, żeby nie starał się wszelkiemi sposobami o odwrócenie ciekawości ogółu od siebie, swej przeszłości i dziejów swej rodziny.

— Nie mam żadnéj ochoty, mówił rozmawiając o tem z matką, ukazywać się wobec tych wszystkich ludzi w charakterze zacnego młodzieńca, dopełniającego wiernie swych obowiązków na miejscu w którem podobało się Bogu go postawić, i zasługującego na zachęcenie. Nie podoba mi się być wyściskanym przez nich i przyjmować ich pochwały. Nie wątpię że chcą być bardzo uprzejmymi i grzecznymi, ale podobne dowody życzliwości trzebaby przyjmować z wdzięcznem sercem, a za takie rzeczy ja nie umiem być wdzięcznym.

Lady De Benham, pomimo swej dumy, nie mogła zupełnie dzielić pogardy okazywanej przez syna; kadzidło które chciano wypalić na jego cześć, chociaż nie tak czyste, bo i handel miał w niem swój udział, wydało by jej się wonnem. Pomimo swego rozsądku i taktu czuła, że byłoby dla niej przyjemnością siedzieć w gronie dam i widzieć, jak go przyjmowano, wnoszono jego zdrowie, i słyszeć mowy wypowiedziane na jego pochwałę.

(D. c. n.)

Druk J. Noskowskiego Mazowiecka Nr. 11. Дозволено Цензурою, Варшава 27 Октября (8 Ноября) 1875 г.